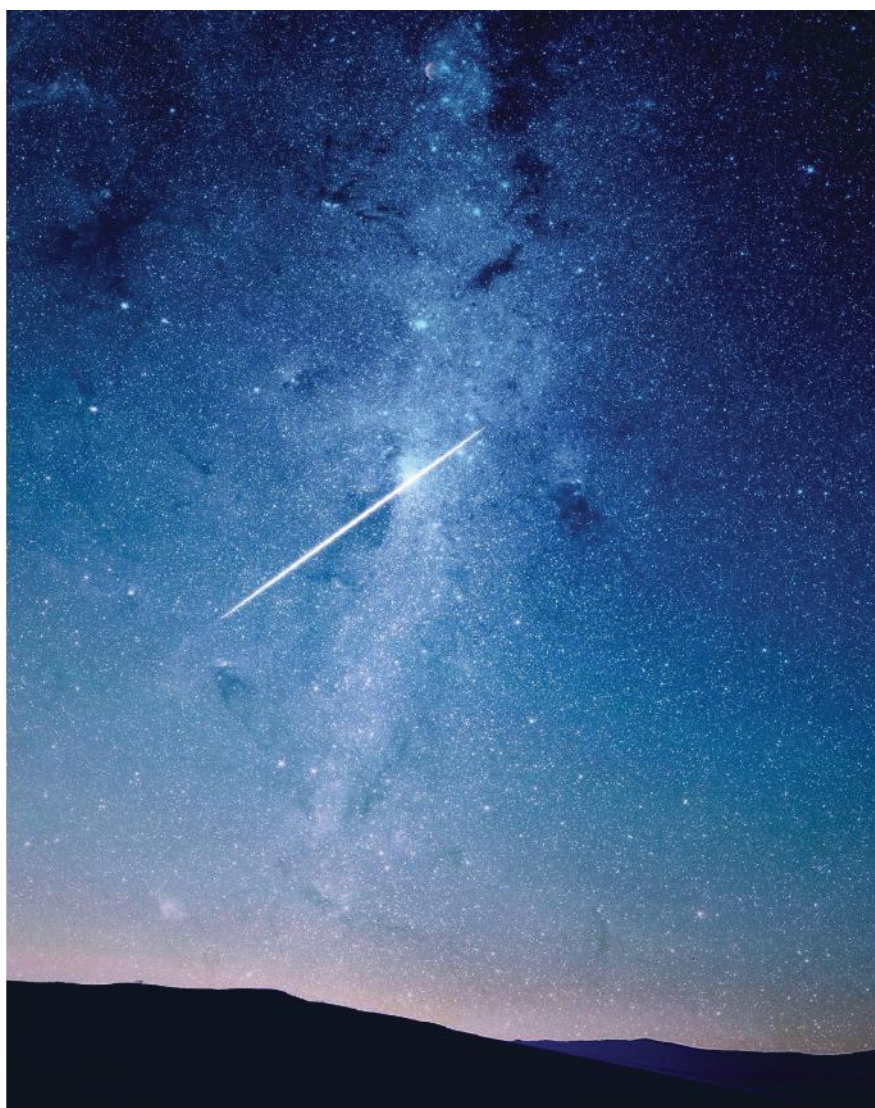


IGNIS

Czasopismo Duszpasterstwa Akademickiego św. Anny w Krakowie



NADZIEJA

*Nadzieja widzi to,
co będzie*
s. 4-5

Nadzieja w zamęcie
s. 8-9

*Amerykańskie wybory
2020*
s. 12-13

Od redakcji



Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce grudniowy numer „Ignisa”, poświęcony cności nadziei. To właśnie ona sprawia, że znajdujemy w sobie siły do działania; w szerszym wymiarze dodaje otuchy i pozwala spokojnie patrzeć w przyszłość – przede wszystkim tę, która nastąpi po życiu doczesnym. To, oczywiście, niejedyny temat, do którego odnosimy się w tym miesiącu. Poza podróżą w przeszłość przenosimy się za ocean, by poznać kulisy wyborów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a następnie odwiedzamy domy naszych przyjaciół z innych krajów, by poznać ich zwyczaje świąteczne.

Życzymy owocnej lektury!

Z okazji nadchodzących Świąt Narodzenia Pańskiego wszystkim Czytelnikom „Ignisa” życzymy, aby nadchodzący czas był pełen pokoju, łaski i błogosławieństwa. Niech spotkanie z Chrystusem przyniesie nadzieję i rozproszy każdą ciemność Jego Światłem!

Redakcja

Spis treści

| | |
|---|----|
| Od redakcji | 3 |
| Z ROZWAŻAŃ DUSZPASTERZA | |
| Nadzieja widzi to, co będzie | 4 |
| PISMO ŚWIĘTE | 6 |
| BYŁO, (NIE)MINĘŁO... | 7 |
| MRÓWCZYM TROPEM | |
| Nadzieja w zamęcie | 8 |
| SAVOIR-VIVRE | |
| Mowa Polek i Polaków | 10 |
| FELIETON | |
| Szczęście w nieszczęściu | 11 |
| Z NOTATEK HISTORYKA | |
| Amerykańskie wybory 2020 | 12 |
| SPORT | |
| Dwa lata Jerzego Brzęczka | 14 |
| FROM THE UPPER ROOM | |
| Around The World From Advent To Christmas | 15 |
| ENTERTAINMENT | |
| Crossword | 16 |

Redaktor naczelna:

Zuzanna Ruszar

Redaktorzy:

Zuzanna Ruszar

Bartosz Księżyc

Korekta:

Rafał Biel

Dawid Klimowski

Anna Każarnowicz

Maria Świerczyńska

Olga Zatońska

Skład:

Ewa Socha

Okładka:

Zuzanna Ruszar

Zdjęcie na okładce – pixabay.com

Nadzieja widzi to, co będzie

Chrześcijańskie rozumienie śmierci



ks. Krzysztof
Porosło

W jednym ze swoich wierszy Wisława Szymborska mówiła o trzech najdziwniejszych słowach, do których zaliczyła: „przeszłość”, „ciszę” i „nic”. Słowo „przeszłość” jest dziwne, bo wypowiedziane – już jest przeszłością. Wypowiadając słowo „cisza”, niszczy ciszę, bo wprowadzam dźwięk. Mówiąc o „niczym”, stwarzam coś – chociażby słowo. Ale do tych najdziwniejszych słów, bez wątpienia, moglibyśmy dodać jeszcze jedno – „śmierć”. Bo kiedy mówimy „śmierć”, mamy na myśli moment, stan, w którym ktoś przestaje żyć, w którymś ktoś jest nie-żywy. A równocześnie „śmierć” jest nieodzownym elementem życia. Nie da się żyć bez śmierci, jak i nie da się umrzeć bez wcześniejszego życia. Zawsze mnie to zdumiewa, że choć nie ma w naszym życiu nic bardziej pewnego niż śmierć, to równocześnie zawsze jesteśmy nią zaskoczeni, zawsze przychodzi za wcześnie, nigdy nie jesteśmy na nią gotowi.

Jedna ze średniowiecznych liturgicznych antyfon brzmi: *Media vita in morte sumus* – „pośród życia ogarnia nas śmierć”. Śmierć nie jest tylko końcem życia, ostatnim punktem, momentem na osi ludzkiej egzystencji. Śmierć jest wpisana w nasze życie od samego początku, spotykamy się z nią na każdym kroku, czyha na nas za każdym zakrętem. Życie, nawet wtedy, kiedy mówimy, że ktoś umarł nagle, niespodziewanie i tragicznie, nie obumiera za jednym zamachem, ale ono samo zawsze po trochu jest umieraniem, kawałek po kawałeczku – jak napisał niemiecki teolog Gisbert Greshake. Choroby, cierpienie, utrata najbliższych, rozstania i pożegnania, porażki, starzenie się, skończenie szkoły, zwolnienie z pracy, przejście na emeryturę – to tylko niektóre symptomy śmierci, która panoszy się w naszym życiu i ciągle daje nam o sobie znać.

Czym zatem jest śmierć? Do końca lat 60. XX w. medycyna posługiwała się klasycznym kryterium śmierci, którym było ustanie krążenia i oddychania. W potocznym przekonaniu mówiło się, że człowiek umiera, kiedy serce przestaje bić. Wiemy jednak doskonale, że to kryterium śmierci jest niewystarczające, ponieważ krążenie czy oddech w wielu przypadkach można przywrócić. Dlatego też w medycznym świecie coraz bardziej wzrastała konieczność zaproponowania nowego kryterium, za pomocą którego można określić zgon człowieka. Ostatecznie dzisiaj powszechnie przyjmowaną definicją śmierci jest ta, która mówi o tzw. śmierci mózgowej, czyli o całkowitym i nieodwracalnym ustaniu wszystkich funkcji mózgu.

Na płaszczyźnie filozoficzno-teologicznej również poszukiwano zadawalającej definicji śmierci, która uwzględniłaby kompletną antropologię, czyli fakt, że człowiek nie jest tylko ciałem, ale integralną jednością pierwiastka duchowego i materialnego, że jest ciałem i duszą. Ta synteza antropologii chrześcijańskiej dojrzała powoli i dopiero u św. Tomasza

z Akwinu znajdujemy klasyczną definicję mówiącą o tym, że dusza jest formą ciała, co oznacza, że człowiek nie tyle ma ciało i duszę, ale jest jednością ciała i duszy.

Śmierć – według klasycznej definicji teologicznej – jest oddzieleniem duszy od ciała (KKK 997). To rozdzielanie jest wbrew ludzkiej naturze, ponieważ to, co było przeznaczone do istnienia w jedności, teraz zostało od siebie rozdzielone. W śmierci umiera nie tylko ciało człowieka, ale umiera on, człowiek, ponieważ zostaje zadany gwałt ludzkiej naturze, która istnieje jako jedność ciała i duszy. (Na marginesie tylko dodam, że warto pamiętać o tym, kiedy się modlimy za zmarłych: módlmy się za osoby, za zmarłych, którzy mają imiona: Anna, Wojciech, Zofia, Marek, a nie tylko za dusze zmarłych). Dlatego też Josef Pieper określa śmierć jako zjawisko, które jest: „rozdarcie czegoś, co z natury do siebie przynależy, a więc zniszczeniem, nieszczęściem, katastrofą”. Tu uwidacznia się cały dramatyzm śmierci. I chociaż dusza ludzka jest nieśmiertelna, to jednak nie można mówić o tym, że umarło tylko ciało człowieka. Słusznie wyraża tę prawdę nasz język, kiedy mówimy, że „ja umieram”, a nie „umiera moje ciało”. Z dualistycznym myśleniem o śmierci, w którym błędne rozumienie nieśmiertelności duszy odbierało śmierci jej dramatyzm, zawzięcie walczył szwajcarski teolog Hans Urs von Balthasar, który podkreślał, że śmierć nie dotyczy tylko ciała, ale człowiek umiera jako całość – śmierć dotyka go we wszystkich wymiarach, zarówno duchowym, jak i cielesnym.

W *Katechizmie Kościoła Katolickiego* możemy znaleźć bardzo klarownie wyłożone nauczanie Kościoła na temat źródła śmierci w świecie: „Śmierć jest konsekwencją grzechu. Urząd Nauczycielski Kościoła, który autentycznie interpretuje wypowiedzi Pisma świętego i Tradycji, naucza, że śmierć weszła na świat z powodu grzechu człowieka. Chociaż człowiek posiadał śmiertelną naturę, z woli Bożej miał nie umierać. Śmierć była więc przeciwna zamysłom Boga Stwórcy, a weszła na świat jako konsekwencja grzechu. «Śmierć cielesna, od której człowiek byłby wolny, gdyby nie był zgrzeszył», jest «ostatnim wrogiem» człowieka, który musi zostać zwyciężony” (KKK 1008). To nauczanie ma bardzo mocne biblijne potwierdzenie, chociażby w zdaniu z Księgi Mądrości: „Bo śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się ze zguby żyjących. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było, i byty tego świata niosą zdrowie: nie ma w nich śmiertelności jadu ani władania Otchłani na tej ziemi” (Mdr 1, 13–14). To przekonanie rozdziło się również naturalnie z wiary w dobrego i kochającego Boga, który jest życiem i źródłem życia, który chce dla człowieka tylko dobra. Czy mógłby On chcieć dla człowieka śmierci, która zawsze łączy się z bólem, cierpieniem, stratą i utratą życia, które jest darem od Niego?

Mimo tak jednoznacznej wypowiedzi Katechizmu coraz więcej teologów zauważa, że tezy o śmierci jako skutku grzechu pierwotnego w świetle aktualnego stanu naszej wiedzy o świecie nie da się utrzymać bez zastrzeżeń. Wiemy dzisiaj, że śmierć jest w sposób konieczny wpisana w ewolucyjny obraz świata, którego

częścią jest człowiek. Jak zauważa Greshake, „w procesie ewolucji przemijalność tego, co powstało w wyniku ewolucji, stanowi wręcz warunek konieczny nowego życia i nowych jego form”. Wobec tego coraz częściej mówi się, że skutkiem grzechu nie jest sama śmierć człowieka, ale sposób przeżywania przez człowieka śmierci, a więc to, co byśmy nazwali dramatem śmierci. Skutkiem grzechu zatem nie tyle byłaby śmierć rozumiana jako ograniczenie w czasie ziemskiego życia, ale sposób, w jaki człowiek doświadcza śmierci. Skutkiem grzechu byłoby cierpienie i ból, które towarzyszą człowiekowi w umieraniu. Skutkiem grzechu byłoby doświadczenie radykalnego końca i zerwania, gwałtu zadanego na naszym życiu, a nie naturalnego przejścia z jednego etapu życia do drugiego.

Greshake zauważa, że przez grzech człowiek radykalnie zmienił punkt orientacji: z Boga, który jest życiem, zwrócił się on ku sobie samemu. Z życia, które zostało człowiekowi dane i zadane na wzór boskiego życia Trójcy Świętej, które jest nieustannym dawaniem siebie w miłości, człowiek zaczął żyć „dla siebie” (por. 2 Kor 5, 16), w egoizmie poszukując tylko zaspokojenia siebie samego. Okazało się jednak, że kiedy człowiek odwrócił się od źródła i dawcy życia, kiedy chciał zachować swoje życie na wieczność, opierając się tylko na sobie samym i na innych ziemskich sprawach, jak bogactwo, sukces, władza, przemienił życie w jego przeciwieństwo – śmierć. W ten sposób zrodził się strach przed śmiercią, gdyż po drugiej stronie śmierci jest Bóg. Kiedy nie mam z Nim relacji w ziemskim życiu, boję się tego, co będzie po drugiej stronie, nie znam tego, co może mnie tam czekać. To, co dla wierzących jest światłem nadziei, dla odrzucających Boga może być jedynie ciemnością niewiedzy i strachu. Tam, gdzie człowiek w swoim egoizmie na wszelkie sposoby próbuje zachować swoje życie, straci je, bo nic, co ziemskie, bo ja sam nie mogę zapewnić sobie wieczności. Właśnie dlatego – podsumowuje Greshake – „doświadczenie śmierci może być skutkiem grzechu; przeżywane jest bowiem jako bezsensowne, ciemne przerwanie życia, jako podejrzana, przerażająca, podszyta strachem rzeczywistość”.

Pierwsi chrześcijanie dokonali – zapewne świadomie – pewnej zmiany terminologii w odniesieniu do śmierci. Określenie *nekropolis* – „miasto umarłych” zastąpili słowem *koimeterion* – cmentarz, które pochodzi od greckiego czasownika *koimao* oznaczającego „spać”. Swoje grobowce nazywali słowem *cubicula*, które znaczy „sypialnie”. O śmierci zaś mówili, że jest ona snem, zaśnięciem w Chrystusie. Świadczy o tym chociażby pierwsze nazwa uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, która brzmiała „Zaśnięcie [Dormitio] Matki Bożej”.

Fundamentem takiego myślenia oczywiście jest sama Biblia i Jezusowy stosunek do śmierci. Kiedy Jezus wskrzeszał zarówno Łazarza, jak i 12-letnią dziewczynkę, mówił, że oni tylko śpią i trzeba ich obudzić. To myślenie o śmierci przejął św. Paweł, który mówiąc o zmartwychwstaniu Jezusa jako fundamencie naszego własnego zmartwychwstania, również odwołał się do symboliki snu. W I Liście do Koryntian znajdziemy w polskim tłumaczeniu zdanie: „Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy spośród tych, co pomarli” (1 Kor 15, 20). Kiedy jednak przypatrzmy się tekstowi oryginalnemu, grekiemu (również łacińskiemu tłumaczeniu), zobaczymy pewne niuanse. Tekst mówi dosłownie: *Christos egegetai ek nekron aparche ton kekoimenon*, co moglibyśmy oddać jako: „Chrystus jest podniesiony z martwych jako pierwszy (pierwszy plon) śpiących”. Jak widać, termin „zaśnięcie/sen” był sposobem opisu śmierci chrześcijanina. Świadczy o tym również terminologia liturgiczna; do dziś w modlitwach liturgicznych, modląc się za zmarłych, mówimy o tych, którzy zasnęli z nadzieją zmartwychwstania (II Modlitwa eucharystyczna: *in spe resurrectionis dormierunt*), którzy śpią

w pokoju (I Modlitwa eucharystyczna: *dormiunt in somno pacis*). Taka terminologia jakby osłabiała moc śmierci, która nie jest już czymś przerażającym (w normalnym doświadczeniu raczej bardzo lubimy sen i czekamy na niego, żeby odpocząć po trudach całego dnia) ani ostatecznym (kładziemy się spać w oczekiwaniu na obudzenie kolejnego dnia).

Czy nie jest to lekceważenie śmierci, zuchwała banalizacja jej potęgi albo psychologiczna ucieczka w bardziej znośny koncept śmierci? Nie, jest to doświadczenie zwycięstwa nad śmiercią, zwycięstwa dostępnego człowiekowi w Chrystusie – jak napisał abp Grzegorz Ryś. Tłumaczy on, że taki stosunek do śmierci nie bierze się ani z szaleństwa, ani z próby ucieczki przed śmiercią, ale z przekonania, że Chrystus wytrącił śmierci z ręki „oścień”, którym nas bodła. Jak pisał św. Paweł, „ościeniem śmierci jest grzech” (1 Kor 15, 56).

Śmierć napawa nas lękiem, grozi nam, staje się naszym największym wrogiem wtedy, kiedy może nas pogonić swoim ościeniem, którym jest grzech. Jednak w doświadczeniu pojednania w Jezusie, w doświadczeniu ogromu Jego miłosierdzia, które przyszło do nas przez Jego krzyż i zmartwychwstanie, w doświadczeniu chrztu obmywającego z grzechu możemy inaczej popatrzeć na śmierć. Staje się ona wtedy tylko snem, tylko bramą do życia wiecznego, przejściem między dwoma etami życia – a nie radykalnym końcem i zerwaniem. Wtedy z „ostatniego wroga” (1 Kor 15, 26) śmierć staje się „naszą siostrą”, jak o niej mówił św. Franciszek z Asyżu.

Tylko w świetle Jezusa Chrystusa widzimy, że śmierć nie jest przejściem w nicość, ani też radykalnym końcem życia. Śmierć jest tylko częścią życia, nowym jego etapem. Jest tylko przejściem na drugą stronę, jest czymś tak zwyczajnym jak przejście z pokoju do pokoju. Tak o niej pisał w absolutnie niezwykłym wierszu Henry Scott-Holland (1847–1918), kapłan z katedry św. Pawła w Londynie, który pierwotnie stworzył go jako fragment jego kazania o śmierci. Z nie do końca wyjaśnionych przyczyn z czasem zaczęto błędnie przypisywać autorstwo tego wiersza wybitnemu francuskiemu poecie nadziei – Charlesowi Péguy’emu, od którego skądinąd zaczerpnąłem tytuł dla niniejszych rozważań. Zakończymy zatem tę medytację o chrześcijańskim rozumieniu śmierci w kluczu nadziei wspomnianym wierszem:

Śmierć nie znaczy nic.

To tak, jakbym się wymknął do sąsiedniego pokoju.

Jestem wciąż sobą i Ty jesteś sobą.

Czymkolwiek dla siebie byliśmy, tym jesteśmy nadal.

Nazywaj mnie moim dawnym imieniem, mów do mnie tak,

[jak zawsze mówiłeś.

Nie zmieniaj tonu, nie przybieraj na siłę poważnej i smutnej miny.

Śmieję się; tak jak zawsze śmialiśmy się z żartów,

[które bawiły nas oboje.

Baw się, uśmiechaj, myśl o mnie.

Módl się za mnie.

Niech moje imię zawsze będzie wymawiane zwyczajnie,

[bez śladu cienia.

Niech wypowiedane będzie bez nacisku, bez cienia żaloby.

Życie znaczy to samo, co zawsze znaczyło.

Dlaczego miałbym zniknąć z twoich myśli, tylko dlatego,

[że zniknąłem z oczu?

Czekam na ciebie, tylko przez krótką chwilę,

[aż przyjdzie twój czas.

Jestem gdzieś blisko, pamiętaj.

W sąsiednim pokoju, lub tuż za rogiem.

Wszystko jest w porządku. ■



**Agnieszka
Szczurek**

Bracia: Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego, Jezusa Chrystusa; On nappełnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym na wyżynach niebieskich – w Chrystusie. W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów poprzez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli, ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umiłowanym.

Ef 1, 3–6

Tak często czujemy, że nie dorastamy do jakiegoś standardu, że jeszcze nie osiągnęliśmy wystarczająco dużo, by uznać siebie za wartościowych... Tymczasem Bóg w swoim Słowie, które usłyszeliśmy w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, mówi nam: „Nie! Jesteś piękny taki, jaki jesteś! Wybrałem cię i przeznaczyłem dla Siebie z miłości. Jesteś obdarzony pełnią błogosławieństwa i powołany do bycia świętym i nieskalanym.” Słowo Pana pokazuje jak wielką mamy godność. Że jesteśmy „wystarczający”.

Jest w nas taka nadzieja, że przyjdzie Pan i objawi nam, kim naprawdę jesteśmy, że ukaże nam nasz potencjał, wszystkie nasze możliwości i pomoże je urzeczywistnić. Św. Paweł w dalszej części listu, jeszcze w tym samym rozdziale, pisze, że Pan chce dać nam „światło oczy serca” byśmy poznali „nadzieję naszego powołania” (por Ef, 1, 18). Czym są te „oczy serca”? One pozwalają nam spojrzeć dalej i głębiej - tam, gdzie wzrok nie sięga. Dzięki nim możemy zrozumieć kim jesteśmy i kim mamy się stać; dokąd zmierzamy i dokąd powinniśmy zmierzać. Są one naszym „duchowym kompasem”.

Teraz, w tym szczególnym czasie, jakim jest Adwent, czuwajmy i bądźmy gotowi na przyjscie Pana. On naprawdę przychodzi. Z mocą, choć czasem tak delikatnie... Trwajmy więc otwarci i wrażliwi na Jego obecność.

Marana tha! Przyjdź, Panie, i objaw nam prawdę o nas samych. Daj nam przejrzeć się w Tobie jak w lustrze. W końcu jesteśmy stworzeni na Twój obraz.

„Jeszcze się nie ujawniło kim będziemy. (...) Każdy zaś, kto pokłada w Nim nadzieję, uświęca się, podobnie jak On jest Święty.” (1 J 3, 2-3) ■



**Aleksandra
Nowakowska**

Pierwszy raz do duszpasterstwa przyszedłam na pierwszym roku studiów, dziewięć lat temu (jak ten czas leci...). Na początku chodziłam na spotkania komórki, potem dołączałam jeszcze do scholi. Czasem spędzałam w DA niemalże wszystkie wieczory w tygodniu, co – biorąc pod uwagę studia na kierunku medycznym – może nie było zbyt rozsądne, ale co tam, kto by myślał o nauce, kiedy tu tyle ciekawych spotkań ;).

Szczególnie ciepło wspominam duszpasterskie niedzielne kolacje. Kiedy przyszedłam do DA, nie było ono zbyt liczne. Kolacje miały bardzo kameralny charakter. Wszyscy w duszpasterstwie się znaliśmy, nawet gdy byliśmy w różnych grupach, i często wyglądało to tak, że całe obecne towarzystwo stało w kole na środku sali akademickiej i razem rozmawiało. Bramę kamienicy przy św. Annie zamykano o 22.00, więc często po kolacji jeszcze gdzieś razem wychodziliśmy na miasto. Kiedy przyszedł ktoś nowy, od razu został odpowiednio zaopiekowany i wciągnięty do grupy.

Duszpasterstwo rozrastało się szybko. Po roku, dwóch nie było już możliwości rozmawiania w jednej grupie. Kolacje stały się głośniejsze i tłoczniejsze. Cieszyło mnie to, ale miało też swoje minusy. Ciężko już było znać wszystkich, a kiedy przychodził ktoś nowy, to czasem był niezauważony. Chcąc temu zapobiec, wymyśliliśmy „dyżury rekrutacyjne”. „Dyżurni” wdzielali odblaskowe kamizelki, a ich zadaniem było wychwytywanie nowych osób i zachęcanie do przygody z DA. Lider mojej grupy był w tym niezastąpiony.

Mój sentyment do duszpasterskich kolacji zapewne wynika też z tego, że na jednej z nich poznałam mojego obecnego męża. Pamiętam to jak dziś; nigdy bym nie pomyślała, że to się może tak skończyć, ale życie potrafi zaskakiwać (i to bardzo pozytywnie!).

Kilka lat temu, kiedy nie było jeszcze kawiarnianego ogródka przy kolegiacie, uroczyste kolacje na zakończenie roku odbywały się na dziedzińcu. Bardzo dobrze to wspominam. Pod ścianami rozkładaliśmy stoły z jedzeniem, a środek zostawał pusty i po części oficjalnej z podziękowaniami wszyscy ustawialiśmy się w kole i tańczyliśmy belgijkę. Nogi można było sobie połamać na tych nierównych kamieniach (zwłaszcza w szpilkach), miejsca też nie było tak dużo w porównaniu do liczby tancerzy, ale kto by się tym przejmował. Chwała Panu, że pogoda zwykle dopisywała ;).

Tak sobie myślę, że już ładnych parę lat nie byłam na duszpasterskiej kolacji. Brakuje mi tego, ale cóż, życie idzie do przodu, a studentem nie można być wiecznie ;). ■



**Elżbieta
Stanek**

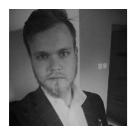
Chcąc w pełni opowiedzieć o moim doświadczeniu wspólnoty św. Anny, pewnie zaprosiłabym Cię, Drogi Czytelniku, na dobrą herbatę i kilka godzin rozmowy. Mam jednak nadzieję, że przez tych parę zapisanych słów choć trochę tego spotkania i herbaty zasmakujesz.

Cały mój studencki czas był żywo przeniknięty trwaniem w DA i często angażowało mnie to mocniej niż studia pielęgniarskie, które jednak szczęśliwie ukończyłam i aktualnie pracuję w zawodzie. Mając wcześniejsze doświadczenie wspólnoty, nie wahałam się długo, by na czas studiów poszukać swojego miejsca w duszpasterstwie akademickim, ale nie wiedziałam, że tak mocno mnie to „wciągnie”. Na pierwszą Mszę i kolację przyszedłam sama, ale już u progu poczułam się przyjeta i wstąpiłam do komórki nr 8. Początki zawsze wymagają pewnego wysiłku i tak naprawdę „u siebie” poczułam się dopiero na moim pierwszym wyjeździe, a był to niezapomniany sylwester w Łapszach Niżnych w 2013 roku. Tam, spędzając z innymi sporo czasu, doświadczyłam zawiązywania się więzi. Przyznaję, że głównym motorem przyciągającym mnie do uczestnictwa we wspólnocie byli właśnie konkretni ludzie; ich świadectwo życia, dojrzałe postawy, głoszenie słowa przez ks. Darka. Wierzę, że przez ludzi działał sam Pan Bóg. Inspirowali mnie i dawali wiele motywacji do pracy nad sobą, stawiali wysoko poprzeczkę pod względem przeżywania wiary, kultury bycia, otwartości. To tworzyło przestrzeń do mojego osobistego wzrostu. Rozwijałam moje podejście do Eucharystii, modlitwy, czystości jako wartości nie tylko wybranych rozumem, ale po prostu pociągających. Najpierw przede wszystkim czerpałam. Na trzecim roku studiów nadszedł czas dawania, kiedy otrzymałam zadanie redagowania „Ignisa”. To był wymagający, ale niesamowicie bogaty w doświadczenia okres, o którym mogłabym napisać osobny artykuł. Rozpoczęłam także formację w ARCM-ie, którą kontynuowałam do końca studiów. Cieszyła mnie także nauka organizacji dużych wydarzeń, ogromna, nie zawsze łatwa nauka współpracy i obserwowanie, jak jesteśmy sobie nawzajem potrzebni z przeróżnymi talentami, by działać dobro.

Czy było tylko łatwo i pięknie? Czasami nie, bo wspólnotę tworzą ludzie, a każdy z nas ma swoje słabości i potrzeba tu dużo pokory. To też pokazuje, że właśnie jesteśmy sobie potrzebni, każdy z nas potrzebuje wspólnoty. Ta konkretna była dla mnie dotknięciem czegoś nie-z-tego-świata. Po części jakąś malutką zapowiedzią, jak to będzie kiedyś w Niebie.

Wierzę, że wszystko ma swój czas i bycie w DA było darem danym mi na konkretny moment. Teraz moim zadaniem jest iść naprzód, może już w innej, na nowy etap danej, wspólnoty? Cokolwiek będzie dalej, droga wspólnoty św. Anny, w moim sercu i pamięci zajmujesz miejsce honorowe. Czeka tam herbata, stół, czas. Wdzięczność. ■

Nadzieja w zamęcie



Bartłomiej
Mrówczyński

Ostatnie lata mojego życia, czas mego dorastania nie tylko jako człowieka, ale przede wszystkim jako wierzącego katolika, obfitują w ogrom rozczarowań, smutku i gniewu. A częściej te uczucia pojawiają się w odwrotnej kolejności. Jestem osobą w przestrzeni publicznej nieistotną, wiedzę mam wyrывkową i nieuporządkowaną, jestem leniwy do granic możliwości, czasem strachliwy i mam na sumieniu wiele grzechów, które wykluczają mnie z grona jakichkolwiek autorytetów w wielu dziedzinach. Jednakże zalew artykułów ludzi znacznie lepiej ode mnie przygotowanych, opatrzonych wiedzą i nieznanymi mi charyzmatami, którzy – jedni dziarsko i z uśmiechem, inni z lamentem – grzebią Kościół polski czy powszechny i wieszczą mu zgubę, jest wręcz nieznośny. Ten okropny, zabójczy, pesymistyczny, jakiś taki odwrócony milenaryzm stał się ostatnio wiodącą nutą w chramach rzymskiego katolicyzmu. Nie mogąc tego słuchać, postanowiłem skłecić te kilka zdań, mając nadzieję, że ten smętny, a przede wszystkim destrukcyjny nurt uda się nie tylko zwolnić, ale i zatrzymać.

Faktem jest, że obserwujemy powolne słabnięcie Kościoła. Tak, to jest prawda. I co z tego? **Ano nic!** Bo wystarczy, że weźmie się **jakakolwiek** książkę do historii, lepszą czy gorszą, napisaną przez świętego czy przez „osobistego wroga Pana Boga”, to zobaczymy, że to nie pierwszy raz, jak Kościół przeżywa jakieś osłabienie. Ba, powiem więcej, **zawsze** wychodzi ono Kościołowi na dobre.

Z głowy, bez bibliografii czy nużących cytatów, prześledźmy kilka najważniejszych wykolejeń w historii Kościoła. Zaczynamy fatalnie, bo właściwie natychmiast po odejściu Pana z tego świata rozpoczynają się prześladowania. Msze są odprawiane w katakumbach, zaś wyznawcy Chrystusa, ku uciesze rozwścieczonej tłuszczy, są paleni na stosach czy zżerani żywem w cyrkach całego Imperium Romanum. Niewiele to jednak daje, ponieważ wyznawcy Chrystusa **wierzą** w obietnicę samego Chrystusa, że kto się go nie zaprze, ten będzie z Nim w raju. Po drodze powstają liczne odstępstwa od – jeszcze wtedy zjednoczonego – chrześcijaństwa, które są dzielnie zwalczane. Ta walka odbywa się poprzez sobory, zaś **błędne**, a często **zabójcze** koncepcje są odrzucane i nazywane **herezjami** (słowo pochodzące z greki, a tłumaczone jako „wybierać”, ponieważ heretycy wybierali sobie to, w co chcą wierzyć; taki współczesny

odpowiednik nieskrępowanego liberalizmu). I jeśli prześledzimy sobie wszystkie herezje, jakie od starożytności się zrodziły, czyli nestorianizm, bogomilstwo, paulicjanizm, ikonoklazm, arianizm, donatyzm i wiele, wiele innych, to zauważymy, że posiadały one w sobie cząstkę **błędnej interpretacji**, którą Kościół separował, dokładnie opisywał i kontrargumentował, a następnie odrzucał. W ten sposób powstawała i powstaje **ortodoksja** (prawowierność), bo zgodnie z nauczaniem Pana, wejście do Królestwa Bożego jest jak przejście przez ucho igielne. Kościół zaś poprzez swoje nauczanie nakładał na tą dziurkę sporo smaru, żeby łatwiej człowiekowi było przez nią przejść.

Czas wykuwania się podstaw wiary był burzliwy. Przykładowo św. Mikołaj sam jeden stanął przeciwko biskupom na soborze w Nicei i obronił wiarę w Trójcę Świętą przeciwko herezji Ariusza, którą popierał praktycznie cały ówczesny episkopat. Sam Ariusz za swoje nieprzejednanie dostał w twarz od Mikołaja i chociaż nasz święty stracił za ten czyn biskupstwo, to **bezkompromisowość** świętego skłoniła cały Sobór do opamiętania i odrzucenia arikańskich nauk.

Wiele wieków później przychodzi czas z łaciny nazywany *saeculum obscurum*, nam lepiej znany jako pornokracja. W X wieku Stolica Piotrowa została opętana politycznymi szponami wielu rzymskich magnatów i papieże bardziej niż na krzewieniu wiary skupili się na wzmacnianiu własnych politycznych wpływów. Oczywiście pojawiło się wielu takich, co to wieszczili rychły upadek czy to Kościoła, czy papieżstwa, świata czy Bóg wie czego jeszcze. W pewnym momencie papieży właściwie wybierał cesarz odnowionego, niemieckiego Rzymu. I gdy się wszystkim zdawało, że to właściwie koniec, a Kościół rzymski zostanie sprowadzony do roli biernego obserwatora wszystkich bezeczeństw i autorytarnych zapędów władców świeckich, na Stolicę Piotrową wybrano Hildebranda z zakonu benedyktynów z opactwa Cluny, który przyjął imię Grzegorza VII. I zaczęła się wielka reforma Kościoła, setkami wyrzucano z parafii księży, którzy utrzymywali rodziny z pieniędzy wiernych, wyznaczono – pierwszy raz w historii dziejów – granicę między władzą świecką a duchowną oraz odbierano prawo władców do nominacji byle kogo na biskupów w swoich państwach. Proces ten trwał długo, okupiony był cierpieniem (choćby samego papieża Grzegorza, zmuszonego do abdykacji, czy św. Stanisława Męczennika,

zabitego za sprzeciw wobec bestialstwa króla Bolesława), ale zakończył się zwycięsko i poskutkowało stworzeniem cywilizacji niespotykanej na globie, gdzie świecki władca nie miał prawa kształtować ludzkich sumień i wpływać na nie. Powstała cywilizacja zrodzona w cieniu katedr, oświecona blaskiem uniwersytetów i świętego krzyża, o **z**ym często wspomina prof. Kucharczyk.

W XV wieku, gdy nadeszła jesień średniowiecza, Kościół znów stanął przed trudną sytuacją. Te wyświechtane argumenty o korupcji, nepotyzmie, sprzedaży urzędów i odpustów to prawda. Ale wiązało się to także – a raczej przede wszystkim – z osłabieniem wykształcenia teologicznego kleru. Właściwie wszystko stało się w Kościele dopuszczalne, księży odprawiali liturgię jak im się podobało, pomijali modlitwy, uznając je za zbędne pod byle jakim pretekstem. Bunt Lutra był iskrą rzuconą na beczkę prochu i nie był to żaden akt pomocy dla Kościoła. Jego postawa zresztą mówi sama za siebie, np. usuwanie wielu zdań czy ksiąg z Biblii, a potem zasłanianie się jej tekstem w imię *sola scriptura*, czy też absurdalny zarzut, że konieczne jest przetłumaczenie Biblii na języki narodowe, bo niby dotychczas ich nie było. **A Biblia królowej Zofii, o której każdy uczył się w liceum na polskim, to co?!** Dla niezorientowanych – jest to tłumaczenie na język polski Starego i Nowego Testamentu, które w czasach Lutra miało ponad **sto lat**. A skoro już wtedy istniało tłumaczenie Biblii na język polski, to zakładam, że takich prywatnych i publicznych tłumaczeń na język francuski czy niemiecki były nieprzebrane ilości. Ale wyłom w Kościele został poczyniony, a ratunkiem był Sobór Trydencki i zakon jezuitów. Obrzydlistwa i nienawiść, jakie spadły na ten zakon, były wprost proporcjonalne do sukcesów, jakie odnosił na gruncie teologicznym. Ci święci mężowie i nieprzebrane zastępy męczenników, którzy ginęli od okrutnych władców Anglii: Henryka VIII i Elżbiety I, przez skandynawskie kraje, gdzie pobożni chłopcy w powstaniu Nilsa Dacke ginęli w obronie wiary rzymskiej, po św. Andrzeja Bobołę na Dzikich Polach Ukrainy, zarżniętego i skatowanego przez kozackich, prawosławnych siepaczy, dali świadectwo prawdzie w sposób niespotykany i pozostający poza moją świadomością. Ale ich poświęcenie nie poszło na marne i XVII wiek pokazał triumf wiary, którego ukoronowaniem było zwycięstwo wszystkich wiernych katolików w bitwie wiedeńskiej i pod Parkanami. Triumf człowieczeństwa, wolności, wiary i rozumu, a także triumf rycerstwa nad barbarzyństwem ówczesnego islamu.

I tak łądujemy w naszych czasach, czasie nowego kryzysu, który polega właściwie dokładnie na tym samym, co w wiekach poprzednich. Braku dobrego wykładu teologii połączonym z perfidnymi kłamstwami. Drugiego nie będę rozwijał, ale to pierwsze to także nasza wina. Pierwszy zarzut to katastrofalna katecheza w szkołach. Po latach mogę stwierdzić jednoznacznie, że dosłownie nic nie wyniosłem z tych lekcji i gdyby nie ciężka praca moich dziadków i rodziców, traktowałbym cały Kościół tak, jak aktualnie stale rosnąca grupa ludzi – jako zgromadzenie opętanych i zafananych głupców. Następny problem ma dwa odgałęzienia. Z jednej strony jest to traktowanie przez księży poważnych ludzi jak głupie dzieci. To jest niebywałe, że wielu prezbiterów potrafi zwracać się w kazaniu do wiernych jak do ociężałych umysłowo, bez żadnego zainteresowania, banalnie, płytko, jakby ludzie nie rozumieli, że Pismo Święte można rozumieć na wielu płaszczyznach. Jest to obraźliwe, gdyż ci księży, występujący jako *alter Christi*, zwracają się do ludzi niejednokrotnie zamożnych i wpływowych, posiadających dorobek różnego rodzaju – od doświadczenia życiowego, po mądrość uniwersytecką – w sposób skandaliczny. Tymczasem wykład, z którym mają do czynienia w czasie kazań, ma charakter

poniżający i destrukcyjny i jeśli tak ma to wyglądać, to postuluję wrócić do starego, dobrego średniowiecza i zakazać prezbiterom głoszenia kazań. Z drugiej strony ci sami księży, którzy mówią kazania w sposób karygodny, mylnie domniemają, że ludzie rozumieją, co się w tym kościele dzieje. Przecież na rany Chrystusa, w przenośni i dosłownie, odbywa się tam żywa, prawdziwa męka, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Pana! Ale ludzie, przez niechlujność, o której wspominałem na samym początku tego akapitu, **o tym nie wiedzą**. Dlaczego prezbiterzy zakładają, że z jednej strony my, wierni, mamy pełne przygotowanie teologiczne i rozumiemy to, co mówimy w kościele, a w praktyce recytujemy bez zrozumienia, a koniecznie muszą nam coś powiedzieć o życiu, niestety w sposób tak infantylny i kokieterystyczny, że liczne grono ludzi to odrzuca, ja tego nie wiem. Przecież ludzie do kościoła nie przychodzą np. w krótkich spodenkach, z odkrytymi plecami lub, w przypadku mężczyzn, w nakryciu głowy dlatego, że są perfidnymi bolszewikami gotowymi zaraz po przejściu wrót świątyni rzucić czymś ciężkim w prezbiterium, ale zwyczajnie nikt im nie uświadomił, **że to co robią, jest niestosowne**. I tak jest w wielu innych aspektach, szczególnie jeśli chodzi o moment konsekracji Najświętszego Sakramentu oraz słowa i gesty z tym aktem związane.

Kończąc, chciałbym pozostawić trzy kwestie, które jako katolicy musimy rozważyć i umysłowo przepracować. Po pierwsze, jesteśmy Kościołem walczącym, nie poddającym się. Co z tego, że szanse padają i że ktoś co rusz gada o białej fladze? Przecież myśmy już i tak wygrali, tylko musimy się w porę zapisać po właściwej stronie i wytrwać (co nie jest proste, ale z drugiej strony – co na tym świecie jest proste?). Kiedyś z moim przyjacielem-księdzem rozmawiałem o zdaniu z Pisma Świętego o Kościele, którego „bramy piekielne nie przemogą”. Zgodziliśmy się co do tego, że jest to dosłowna zapowiedź **ciężkiego obłężenia**, obietnica pełna nadziei i zmuszająca do pracy i wytrwałości. Kolejną kwestią jest rutyna w obowiązkach względem Pana Boga i bliźnich, od rodziny zacząwszy, na wrogach skończywszy. Rutyny zaś w tym przypadku nie należy traktować jako sklerotycznego i mechanicznego działania, ale jako regularność, która pomaga w realizacji obowiązków. Msza święta w niedzielę, modlitwa przed snem, rachunek sumienia, pomoc rodzicom, telefon do przyjaciela czy nawet codzienne ścielenie łóżka i ścieranie kurzów z mebli. Trywialne, a o zbawienia jakże potrzebne. Trzecie zagadnienie, najtrudniejsze z wymienionych, to metoda działania. A ta, choć możliwa do opracowania, będzie wymagała ogromu pracy i dyscypliny, ponieważ te metody, które zadziałały w wiekach poprzednich, już się wyczerpały, a raczej spełniły swoje zadanie. Doktryna benedyktyńska w początkach średniowiecza, franciszkańska i dominikańska jako miecz na herezję katarską, jezuitska w walce z protestantyzmem czy redemptoryści i pijarzy w dobie nihilizmu oświeceniowego – to wszystko jest godna pamięci przeszłość. Nowa metoda, jej wymyślenie i stosowanie będą wymagać ogromu pracy, a to nie znaczy, że jedyne, czego Kościół potrzebuje, to zrobić z Lutra, rozpitego krzywoprzysięzcy (wbrew ślubom zakonnym miał żonę), fałszerza tekstów biblijnych i autora innych groteskowych działań, świętego czy sługę Bożego. To droga donikąd! Zresztą sam papież Franciszek upominał ostatnio episkopat niemiecki, że w Kościele – przypomnijmy, jednym (i jedynym), świętym (bo założonym przez samego Jezusa Pana), powszechnym (czyli katolickim) i apostołskim (bo trwającym nieprzerwanie od czasów dwunastu apostołów) – chyba jeden rozłam luterński w zupełności wystarczy. DO ROBOTY. ■

Mowa Polek i Polaków

Obecnie coraz mniej rozmawiamy. Czasami zastępujemy wyrażanie swoich emocji słownie poprzez wysyłanie emotikonów czy też stosujemy wygodne przekazanie linku zamiast zreferować sprawę. Powinniśmy unikać nadużywania elektroniki, lecz także myśleć o tym, jak rozmowa przyczynia się do budowania relacji z innymi i zwracać uwagę na to, w jaki sposób mówimy.



Dominik
Feliks

Mowa towarzyszy nam na co dzień, a to, co nas otacza, ma także na nas wpływ. Słuchając czy to filmików, czy to mądrzejszych od nas osób zdobywamy punkt odniesienia dla naszego myślenia i naszych wypowiedzi. *Savoir vivre* wskazuje na szlachetność, której dobrze jest poszukać także w mowie. Słuchając słów szlachetnych, nie tylko ubogacamy siebie, ale także możemy w następstwie propagować elegancką formę wypowiedzi wśród innych. Jednak na jaką mowę powinniśmy pracować? Niech nasza mowa będzie precyzyjna, np. „tak, tak; nie, nie”, wyraźnie zaprezentowana oraz pozbawiona nieprawidłowości. Ten ostatni wątek dotyczy też słów będących sądami, cytowaniami czy parafrazami. Należy uważać, by w wywodzie nie głosić sprzeczności, a przywołując wypowiedź, trzeba zaznaczyć, czy to wierny cytat. Cytując, dobrze jest oprzeć się na konkretnym tekście – jedną z opcji jest szybkie wyszukiwanie tytułu (np. z pozycji powieściowych) na stronie wolnelektury.pl. Używając tego narzędzia, nie trzeba główkować się nad tym, gdzie w powszechnie znanym i lubianym zdaniu padł przecinek. Zresztą nie tylko o przecinki tu idzie. Padające w kontekście m.in. makaronizmów zdanie Mikołaja Reja („A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”) jest nierzadko błędnie przekształcane w koniunkcję.

W refleksji nad tym, jak używamy języka, pragnę przywołać całkowicie niezrozumiałe dla mnie używanie w stresie wyrazów wulgarnych zamiennie ze słowami odnoszącymi się m.in. do osób świętych. Oprócz planowania wypowiedzi również istotne jest słuchanie samego siebie i kontrolowanie się, gdyż nasze słowa mają konsekwencje. Oczywiście te następstwa mogą być też pozytywne, m.in. gdy używamy kwiecistego języka. Jak jednak do tego dojść? Wydaje się, że do lepszego zbudowania naszych wypowiedzi przyczynia się częste stosowanie synonimów, szukanie dla jednej rzeczy wielu epitetów, a także wtrącanie *bon motów*. W dyskusjach dociekanie prawdy jest ważne, ale czasem zachowanie purystyczne sprawia, że zwrócenie uwagi może zmieszać przemawiającego, a jego wywód – który mógł zawierać dwa czy trzy błędy – z powodu stresu zostanie przez niego zniekształcony. Czasem warto z uwagą poczekać na właściwy czas.

Osoba z klasą stara się w rozmowie pomóc drugiemu człowiekowi odkryć to, co w nim wyjątkowe. Ponadto przestrzegający *savoir vivre* docenia, iż dzięki kulturalnej rozmowie może dowartościować kogoś, a nie uciekając przed trudnymi rozmowami, ma szansę na owocne porozumienie. Pięknego mówienia, cierpliwości w słuchaniu i wytrwałości w próbie zrozumienia drugiego człowieka życzę nam wszystkim i mam nadzieję, że dzięki temu będziemy wzrastać w naszej wspólnocie. ■

Szczęście w nieszczęściu



Anna Rita
Rucińska



Okres społecznej izolacji i pandemicznych obostrzeń pozwala na weryfikację osobistych priorytetów. W czasie, w którym prawie wszystko jest zamknięte, mamy okazję odczuć, czego brakuje nam najbardziej. Myślę, że wiosną, gdy dopuszczalną liczbą uczestników nabożeństw było pięć osób, dla wielu z nas było to czynne uczestnictwo w Eucharystii. Na szczęście, odkąd uzależniono ograniczenie wiernych od powierzchni kościoła, raczej każdy prawdziwie chcący znajdzie ku temu sposobność i świątynię. Jednak nie w każdym kraju katolicy mogą się cieszyć podobną pandemiczną swobodą.

We Francji (a podejrzewam, że i w paru innych europejskich państwach) wspólnotowe odprawianie mszy i sprawowanie sakramentów zostało zakazane na czas kwarantanny (wiosenna trwała 55 dni, jesienna rozpoczęła się 30 października, a jej koniec nie został jeszcze wyznaczony). Skutkiem tego nieliczne kościoły, które na co dzień pozostawały otwarte (bo wiele jest takich, które otwiera się tylko na pojedyncze

niedzielne msze) służą teraz jedynie jako miejsce indywidualnej modlitwy. Francuski episkopat odwołał się od decyzji władz, powołując się na wolność wyznania i uprawiania kultu. Jak sam jednak niedawno ogłosił, „nie został wysłuchany”, a górny limit uczestników nabożeństw wynosi wciąż 30 osób, bez względu na rozmiar kościoła.

Francuskim wiernym pozostało uczestnictwo w spotkaniach duszpasterstw online oraz tworzenie prowizorycznych kapliczek w domowym zaciszu – aktywności, do których zdążyli się już w tym roku przyzwyczaić. Niestety, jak wszyscy dobrze wiemy, katolicyzm nie jest religią „cyfrową”, a praktykowania go nie da się sprowadzić do medytacji i modlitwy w odosobnieniu. Istotą wiary jest Chrystus i Jego Ciało, którego nie da się przyjąć przez Internet.

Myślę więc sobie, że w tej naszej nieszczęsnej Polsce, dotkniętej ostatnio falą ulicznych burd, przyrostem ofiar koronawirusa i niekompetencją rządzących, mimo wszystko mamy być za co wdzięczni. ■

Amerykańskie wybory 2020 roku

Kolejne wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych odbyły się 3 listopada 2020 r. W szrankach stanęli dotychczasowy prezydent Donald Trump, kandydat Partii Republikańskiej, oraz Joe Biden, kandydat Partii Demokratycznej.



Wiktor Węglewicz

Tegoroczne wybory mają duże znaczenie, zarówno w kontekście polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej USA. W amerykańskim systemie rządów władza wykonawcza skupiona jest w ręku prezydenta, dlatego to jego poglądy będą miały decydujący wpływ na decyzje podejmowane przez następne cztery lata. To, kto będzie zasiadał w Gabinetcie Ovalnym ma bardzo duże znaczenie także dla Polski.

Mimo że wybory odbyły się 3 listopada, nie wszystkie głosy zostały zliczone aż do chwili obecnej (17 listopada). W tym roku z uwagi na pandemię koronawirusa po raz pierwszy zastosowano głosowanie korespondencyjne, dlatego też w niektórych hrabstwach nie podano ostatecznych wyników. Trzeba dodać, że Amerykanie wybierają w nich nie tylko prezydenta, ale również kongresmenów i senatorów, a w niektórych stanach przeprowadza się również referenda w istotnych dla ich mieszkańców sprawach.

System wyborczy w USA jest o wiele bardziej skomplikowany niż w Polsce, dlatego trzeba go w tym miejscu szeroko omówić. Na współczesne warunki jest on przestarzały i trudny

do zrozumienia (w czasie swojego pobytu rozmawiałem zresztą o tym z Amerykanami i nieco na ten system narzekali). Prezydent wybierany jest w wyborach pośrednich na kadencję trwającą 4 lata (w Polsce wybiera się głowę państwa w wyborach bezpośrednich, czteroprzymiotnikowych). Urząd prezydenta można sprawować maksymalnie dwa razy. Wybory zawsze odbywają się w pierwszy wtorek po 1 listopada (termin ten został ustalony w połowie XIX w.). Pomimo istnienia kilku partii, od połowy XIX wieku dominują dwie: Partia Republikańska (kolor czerwony; zwana potocznie Grand Old Party – GOP) i Partia Demokratyczna (kolor niebieski).

Zanim odbędą się wybory, obie partie wyłaniają po jednym kandydacie, który będzie je reprezentował. Odbywa się to w wyborach (wyborcy idą do lokalu i głosują na wybranego kandydata) oraz na zebraniach (wyborcy idą na wiec, wysłuchują kandydatów i potem dzielą się na grupy, fizycznie przemierzając się po lokalu, jest też miejsce dla niezdecydowanych). Prawyborzy kończą się konwencją, gdzie ogłasza się kandydata na prezydenta i również prezentuje się osobę wiceprezydenta.

W 2020 r. prawyborzy odbywały się od 3 lutego do 11 sierpnia. Po stronie Partii Republikańskiej w praktyce był tylko jeden kandydat, urzędujący prezydent (drugi z kandydatów w ogóle się nie liczył). Bardziej dramatyczne było po stronie Partii Demokratycznej. Do walki o nominację stanęło aż 7 kandydatów. Prócz Bidena (pochodzącego z Delaware), w tym gronie znaleźli się też: najsłynniejszy amerykański socjalista – Bernie Sanders z Vermont (drugi pod względem ilości głosów w wyścigu), dalej senator z Massachusetts i wykładowca Harvardu, Elizabeth Warren, miliarder z Nowego Jorku Michael Bloomberg, młody burmistrz miasta South Bend w Indianie, a zarazem gej i weteran US Army, Pete Buttigieg, senator Amy Klobuchar z Minnesoty oraz Tulsi Gabbard z Hawajów. Od poprzedniego roku odbyło się wiele debat wymienionych kandydatów, z których część oglądałem (w mojej opinii, najbardziej merytorycznie wypadła w nich Warren). Zwolennicy Demokratów ostatecznie zdecydowali się wystawić Bidena.

Przez następne kilka miesięcy kandydaci jeżdżą po całych Stanach Zjednoczonych i prezentują swój program wyborczy potencjalnym wyborcom, biorą też udział w kilku debatach 1 na 1, transmitowanych przez media.

W końcu odbywają się wybory. Są one powszechne, ale nie wybiera się w nich prezydenta, lecz elektorów, którzy wybiorą głowę państwa w pierwszy poniedziałek po drugiej środku grudnia w poszczególnych parlamentach stanowych (w tym roku wypadła to 14 grudnia). Każdy ze stanów ma tylu elektorów, ilu ma liczbę kongresmenów w Izbie Reprezentantów (niższej izbie amerykańskiego parlamentu) + 2 senatorów. Liczba kongresmenów jest uzależniona od populacji danego stanu, stwierdzanego co 10 lat przez spis ludności (US Census). Dla przykładu, stan Kalifornia, który wedle stanu na 2019 r. ma 39,5 mln mieszkańców, ma 55 elektorów, podczas gdy Montana (nieco ponad milion mieszkańców) ma ich tylko trzech. Ten element systemu jest krytykowany jako mało sprawiedliwy, z uwagi na to, że daje przewagę mniej zaludnionym obszarom (należy zdobyć mniej głosów mieszkańców dla wyboru kongresmena).

Łącznie w całym USA jest 538 elektorów (535 z poszczególnych stanów i 3 z Dystryktu Columbii – według 23 Poprawki D.C. dostaje taką samą ich liczbę jak najmniej zaludniony stan). By wybrać wybory, należy zdobyć 270 głosów elektorskich.

Patrząc na podliczone dotychczas głosy w poszczególnych stanach, można stwierdzić następujący podział głosów. Zachodnie Wybrzeże (Kalifornia, Oregon, Washington) głosowało na Joe Bidena. Kalifornia jest zresztą najbardziej liberalnym stanem w państwie, więc nie jest to dziwne. Tradycyjnie za kandydatem Demokratów zdecydowanie opowiedziały się najstarsze stany na Wschodnim Wybrzeżu, takie jak Massachusetts (w ciągu ostatnich 40 lat kandydat Republikanów wygrał tam tylko jeden raz, i był to Ronald Reagan w czasie reelekcji), Rhode Island czy Vermont. Donald Trump wygrał za to w większości stanów na Środkowym Zachodzie (Kansas, obie Dakoty, Iowa, Ohio, przegrał za to w Illinois) i w Pasie Biblijnym (np. Alabama, Missisipi, Arkansas). Bardzo duże znaczenie mają tzw. swing states, w których żaden kandydat nie ma wyraźnej przewagi i do dnia wyborów nie można przewidzieć, kto wygra. W tegorocznych wyborach zaliczono do nich m.in. Nevadę, Arizonę, Teksas, Pensylwanię, Georgię i Florydę. Generalnie można powiedzieć, iż na Demokratów głosują bogatsze wybrzeża i duże miasta, natomiast na Republikanów – biedniejsze obszary wewnątrz państwa.

Co bardzo istotne, we wszystkich stanach (prócz dwóch) obowiązuje zasada winner-take-all: kandydat, który zdobył choć jeden głos przewagi w wyborach powszechnych otrzymuje głosy

wszystkich elektorów. Ale i tu jest niuans, bowiem w 33 stanach elektorzy muszą głosować tak, jak wybrali ludzie, ale w połowie z nich nie jest to egzekwowane, co doprowadziło do powstania zjawiska „wiarołomnych elektorów”, czyli takich, którzy nie zagłosowali za kandydata, na którego zadeklarowali oddać swój głos (kilka takich przypadków zdarzyło się w poprzednich wyborach w 2016 r.).

Odrębne przepisy istnieją w Maine i w Nebrasce, gdzie obowiązuje inna zasada (tzw. dystryktów kongresowych): wyborcy wybierają po jednym elektorze w każdym z dystryktów (w Maine – 1, w Nebrasce – 3), natomiast pozostałych dwóch wybiera cała populacja danego stanu.

6 stycznia 2021 r. Kongres podliczy i zatwierdza głosy elektorskie, a 20 stycznia odbędzie się inauguracja nowego prezydenta, jak i obu izb nowo wybranego Kongresu. Jeśli prezydent do tego momentu nie zostanie wybrany, zgodnie z 12 Poprawką wyboru dokonuje Kongres.

Wybory prezydenckie 2020 r. prawdopodobnie wygrał Joe Biden. Już w tym momencie ma on zdobytych 290 głosów elektorskich, co w zasadzie zamyka dyskusję. Mimo, że proces wyborczy będzie trwał następne dwa miesiące i przy wątpliwościach, dotyczących uczciwości wyborów (możliwości fałszerstw korespondencyjnych), raczej to demokracja będzie zajmował Białą Dom przez następne miesiące. Dokonał tego przy ogromnym wsparciu lewicowych mediów, które zrobiły wszystko, co w ich mocy, by mu pomóc, włącznie z cenzurowaniem prawicy (jak Twitter, który ograniczał zasięgi kont zwolenników republikanów). Można zaryzykować tezę, iż wybuch epidemii koronawirusa i konsekwencje gospodarczo-społeczne, które przetoczyły się przez Stany Zjednoczone miały znaczący wpływ na porażkę Trumpa.

Jaka będzie ta nowa prezydentura? Należy pamiętać o tym, że każdy prezydent wymienia całkowicie swój aparat administracyjny, zwalnając dotychczasowych pracowników, zatrudnionych przez jego poprzednika. Będą nowi sekretarze, będą nowi ambasadorzy (w tym i w naszym kraju). Liczne są głosy, że będzie to prezydentura czasowa – trzeba pamiętać, iż Biden ma aż 78 lat, i jak pokazała kampania, jest w nie najlepszym stanie zdrowia (znane są kadry, jak myli nazwiska, ledwo czyta tekst z promptera, ma też problemy z pamięcią). Mówi się, iż porządzi on dwa lata, a po tym czasie ustąpi i przekaże swoje stanowisko pierwszej kobiecie na stanowisku wice-prezydenta USA, Kamali Harris. Warto o niej powiedzieć kilka słów, będzie ona jedną z kluczowych rozgrywających w amerykańskiej polityce następnych lat. Ma korzenie mieszane, jamajskie i hinduskie, pochodzi z Kalifornii. Z wykształcenia jest prawniczką, a w ostatniej kadencji była kongresmenką z Kalifornii. Pod względem poglądów, w przeciwieństwie do umiarkowanego Bidena, jej są skrajnie lewicowe. Można więc spodziewać się ostrego skreślenia wewnętrznej polityki amerykańskiej w lewo.

Co oznacza zwycięstwo Bidena dla Polski? Dotychczasowe stosunki, oparte na dobrym kontakcie z prezydentem Trumpem raczej ulegną ochłodzeniu. Póki co więcej jest niewiadomych, dlatego też można tylko snuć domysły. Zapewne wzmocni się krytyka polityki rządu polskiego, możliwe też, że wzmocni się nacisk ideologiczny na nasze państwo. W polityce zagranicznej prawdopodobny jest reset na linii USA – Rosja, przynajmniej pod względem surowców energetycznych (wydaje się, że Amerykanie nie przeszkadzają dokończeniu Nord Stream 2), co jest dla nas bardzo niekorzystne. Jednakże nie wydaje się, by nowa administracja przekreśliła wszystkie istotne dla nas decyzje administracji Trumpa, czyli stacjonowanie wojsk amerykańskich w Polsce czy dalszą inwestycję w elementy Trójmorza. ■

Dwa lata Jerzego Brzęczka

7 września 2018 roku polska piłkarska reprezentacja narodowa rozegrała pierwsze spotkanie pod wodzą nowego selekcjonera, Jerzego Brzęczka, który po udanym sezonie w Wiśle Płock wydał się prezesowi PZPN Zbigniewowi Bońkowi właściwym kandydatem, by zastąpić na stanowisku Adama Nawalkę. Pierwszy mecz o punkty przypadł na spotkanie Ligi Narodów (wówczas nowych rozgrywek, mających zastąpić znaczną część międzypaństwowych meczów towarzyskich). Przeciwnikiem Polaków byli Włosi, z którymi spotkali się teraz, w listopadzie, w kolejnej edycji tego samego turnieju – ten fakt dodatkowo zachęca, by podsumować, co się zmieniło w dynamice polskiego zespołu.



Bartosz Książczyk

Skład

Po zajęciu ostatniego miejsca w grupie na Mundialu 2020 i zwolnieniu Nawalki poważnym zadaniem na najbliższe lata wydawało się dokonanie przemiany pokoleniowej. Jak to zwykle bywa, niektóre zmiany dokonały się naturalnie – na prawej obronie kończącego przygodę z kadrą Łukasza Piszczka zastąpił Bartosz Bereszynski, którego naturalnym zmiennikiem jest Tomasz Kędziora; przebojem na lewe skrzydło wdarł się Kamil Józwiak, który aktualnie wygrywa rywalizację ze starszym Kamilem Grosickim; poważną alternatywą dla grającej w środku pola dwójki Klich – Krychowiak stał się natomiast 21-letni Jakub Moder z Lecha Poznań. Jednak zmaganiem pozostaje wciąż obsada pozycji lewego obrońcy. Brzęczek od swojego debiutu próbuje wykorzystać potencjał Arkadiusza Recy, który grał dla niego w Wiśle Płock (obecnie we włoskiej FC Crotone), ale ten – mimo dwóch lat testowania – wciąż wydaje się być zagubiony na boisku. Naturalnym lewym obrońcą jest także Maciej Rybus; niestety, nie imponuje on warunkami fizycznymi, które przy stylu gry reprezentacji Polski stanowią bardzo istotny element, a trener, wystawiając z lewej strony prawonożnego Bereszynskiego lub Kędziorek, być może nigdy nie wykorzysta w pełni potencjału tych zawodników. Początkowo wydawało się słuszne, by wskazać jasną hierarchię wśród napastników – Brzęczek od pewnego czasu regularnie stawia na Lewandowskiego, Milika i Piątka. Obecnie jednak Milik przynajmniej do stycznia nie rozegra w SSC Napoli meczu o punkty z uwagi na konflikt z szefostwem, a Piątek prezentuje w Hercie Berlin nieregularną formę, od początku sezonu coraz częściej będąc zawodnikiem wchodzącym z ławki w drugiej połowie. W tej sytuacji wydaje się, że wczesne zrezygnowanie z pomysłu powoływania innych napastników, między innymi Dawida Kownackiego czy Kamila Wilczka, może skutkować brakiem wartościowego zmiennika dla Lewandowskiego, jeśli Milik i Piątek nie wrócą do formy lub odniosą kontuzję.

Taktyka

Adam Nawalka pod koniec swojej przygody z reprezentacją zastosował koncepcję gry trzema obrońcami zamiast czterech (wówczas zastępujący bocznych obrońców „wahadłowi” mogą się podłączyć w razie potrzeby do akcji ofensywnej lub zageścić obronę, dołączając do trójki stoperów). Pomysłu nie udało się właściwie zrealizować na Mundialu, ale nie mogę odmówić byłemu selekcjonerowi wyjścia z własną inicjatywą taktyczną, której nie widzę u Jerzego Brzęczka. O Piotrze Zielińskim od wielu lat mówi się: „może w tym meczu się odblokuje!” i to nie następuje, gracz nie jest tym samym

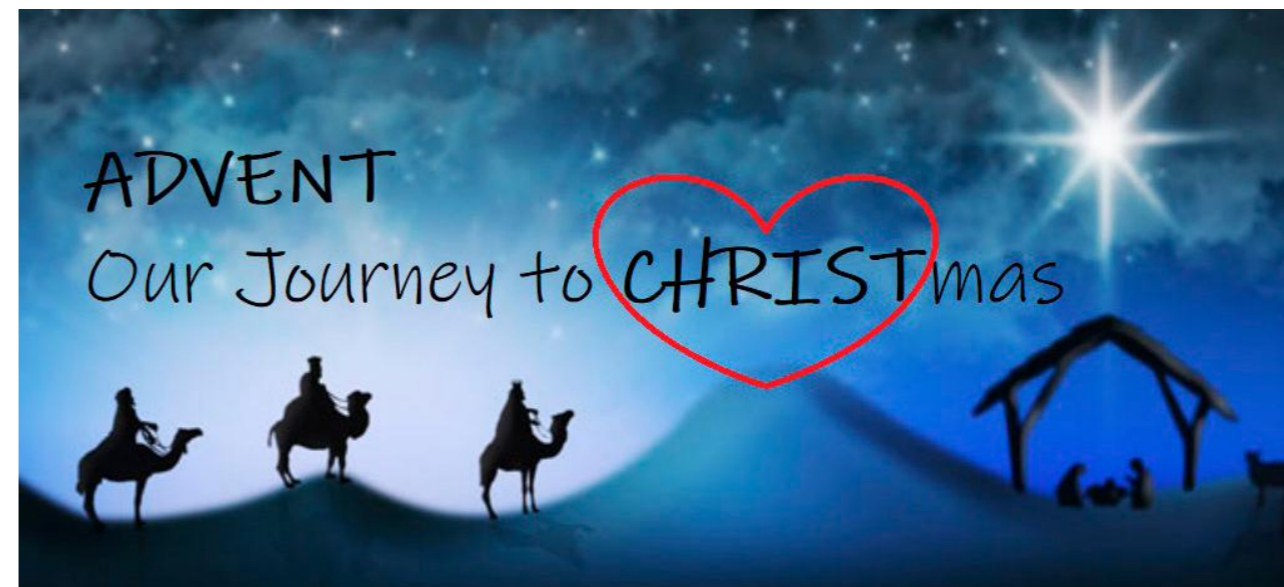
rozgrywającym co w swoim klubie w Neapolu. Bardzo długo poniżej poziomu prezentowanego w angielskiej Championship grał również Mateusz Klich, a ostatnio także Grzegorz Krychowiak regularnie zalicza niepewne występy w środku pola. W niedawnym meczu z Włochami nic nie wyglądało dobrze, przez 90 minut Polacy nie oddali celnego strzału na bramkę. Oczywiście takie mecze zdarrzają się każdemu szkoleniowcowi (wystarczy wspomnieć ostatnią klęskę Niemców pod wodzą Joachima Löwa – 0:6 z Hiszpanami), ale wielu komentatorów zwraca uwagę na dziwne decyzje personalne Brzęczka w drugich połowach. W meczu z Włochami Lewandowski biegł odosobniony na połowie przeciwnika i musiał wracać na swoją, ponieważ były długie momenty, podczas których Polacy nie byli w stanie wyjść z piłką poza 40 metr od własnej bramki, a trener – zamiast zmieniać źle funkcjonujący środek pola, zaczął od wymiany pomocnika na napastnika. Przedmeczowy plan taktyczny trenera na to spotkanie Lewandowski skwitował w wywiadzie dziewięcioszekundowym milczeniem.

Osobowość

Wolałbym skupić się na tym, że Brzęczek jako wujek Jakuba Błaszczykowskiego bardzo mu pomógł, kiedy tamten doznał traumy w dzieciństwie, okazał się osobą, w której zawodnik znalazł oparcie. W dzisiejszym artykule oceniamy jednak nie człowieka, a selekcjonera. Po wspomnianym niedawnym meczu z Włochami trener odpowiedział w mediach, że „Robert nie brał udziału w pierwszych dwóch jednostkach treningowych”, niejako zarzucając mu, że nie zrozumiał taktyki, bo nie był przy tym, kiedy Brzęczek ją wyjaśniał. Kontrowersyjnych wypowiedzi dla prasy zaliczył kilka, za najsztywniejszą uznaje się tę o Zielińskim: „jeżeli wstanie tego dnia i coś mu przeskoczy w głowie, to będziemy mieli zawodnika, którego będą nam zazdrościć wszyscy na świecie”. Problem w tym, że nie wygląda na to, by Piotr zaczął grać na miarę swoich możliwości w reprezentacji, a ma już 26 lat – miejmy nadzieję, że owo „przeskoczenie w głowie” nastąpi przed końcem kariery.

Podsumowując, Jerzy Brzęczek wprowadził do zespołu młodych zawodników, a pod jego wodzą Polska już po raz drugi uniknęła spadku do niższej dywizji w Lidze Narodów – niezależnie od okoliczności jest to sukces. Do tej pory zanotował 12 zwycięstw, 5 remisów i 7 porażek. W dużym skrócie, gra reprezentacji potrafi się podobać, jeżeli po drugiej stronie jest słabszy lub podobnej klasy rywal, ale zawodnicy zupełnie gubią się, kiedy grają z teoretycznie lepszym zespołem. Czy z każdym innym trenerem nie osiągnęliby tego samego, mając po prostu wystarczająco dobrych zawodników? Trudno powiedzieć, ale selekcjonera rozlicza się głównie za wyniki i z celów postawionych w momencie zatrudnienia – pod tym względem na razie się broni. Do najbliższego Euro najprawdopodobniej pozostanie na stanowisku, więc pozostaje życzyć Panu Jerzemu szczęścia podczas meczów i nieco większej powściągliwości języka poza nimi. ■

Around the World from Advent to Christmas



“Christmas is love, Christmas is peace, a time for hating and fighting to cease,” we hear in Cliff Richard’s song. And indeed it is a time when we celebrate the birth of love and peace in the person of Jesus Christ. A friend of mine once pointed this out to me as I was anticipating my presents. She asked, “So, what are you getting Jesus?” This question has stayed with me ever since. What can I give Jesus for his birthday? My patience, time, love, humility? I have all Advent to prepare. And I am not alone. All around the world people are preparing in different ways to celebrate the same mystery in a vast array of traditions. Read on and see for yourself!

In Colombia we have a nine day novena preceding Christmas during which we meditate on the coming of Christ. This novena comprises prayers and carols called villancicos which we sing with the accompaniment of instruments such as the shakers, the zambomba, the pandereta and the guitar. In more secular families, the novena is just an opportunity to sing and eat. One of the carols that we sing is Tutaina: <https://youtu.be/yNKkXX-DzVs>. The children from the neighborhood gather in each house so that they can get candies. For Christmas Eve we have a special dinner. In the night Baby Jesus brings presents which are opened the next morning.

—Perly, Colombia

To be honest, I love Christmas more than any other feast in the Church year or any holiday for that matter. I know that in many ways Easter is more important but I always find myself wanting to sing the old hymns of Advent. To me, Advent always symbolized the anticipation of Christ’s birth and helped us understand why it’s such a joyous and wonderful occasion. It really is a joyous time and to me it represents the good news of the Gospel. I think especially this year we should celebrate Advent with even more enthusiasm. As for my favorite song, it’s Three Wise Men: <https://youtu.be/HDqTL49OwDA>.

—Nick, USA

Catholic families in Japan celebrate Christmas [Kurisumasu] as I guess most European countries do. On Christmas Eve, we go to the Midnight Mass and have a small Christmas party at our church (we sing carols, play the hand bells, exchange presents, etc.) My favorite carol is Silent Night and here is the link to the Japanese version of it: <https://youtu.be/WkixWPzAjyc>. Then we prepare a dinner with our families. We have roast chicken, stollen, cakes... Children get their presents beside their beds. I used to love Advent chocolate calendars to count days until Christmas, but for most Japanese people Christmas is a time when you just have fun with friends, not with families. Cities are decorated with all kinds of ornaments, sweets and products but they lack the spiritual preparation.

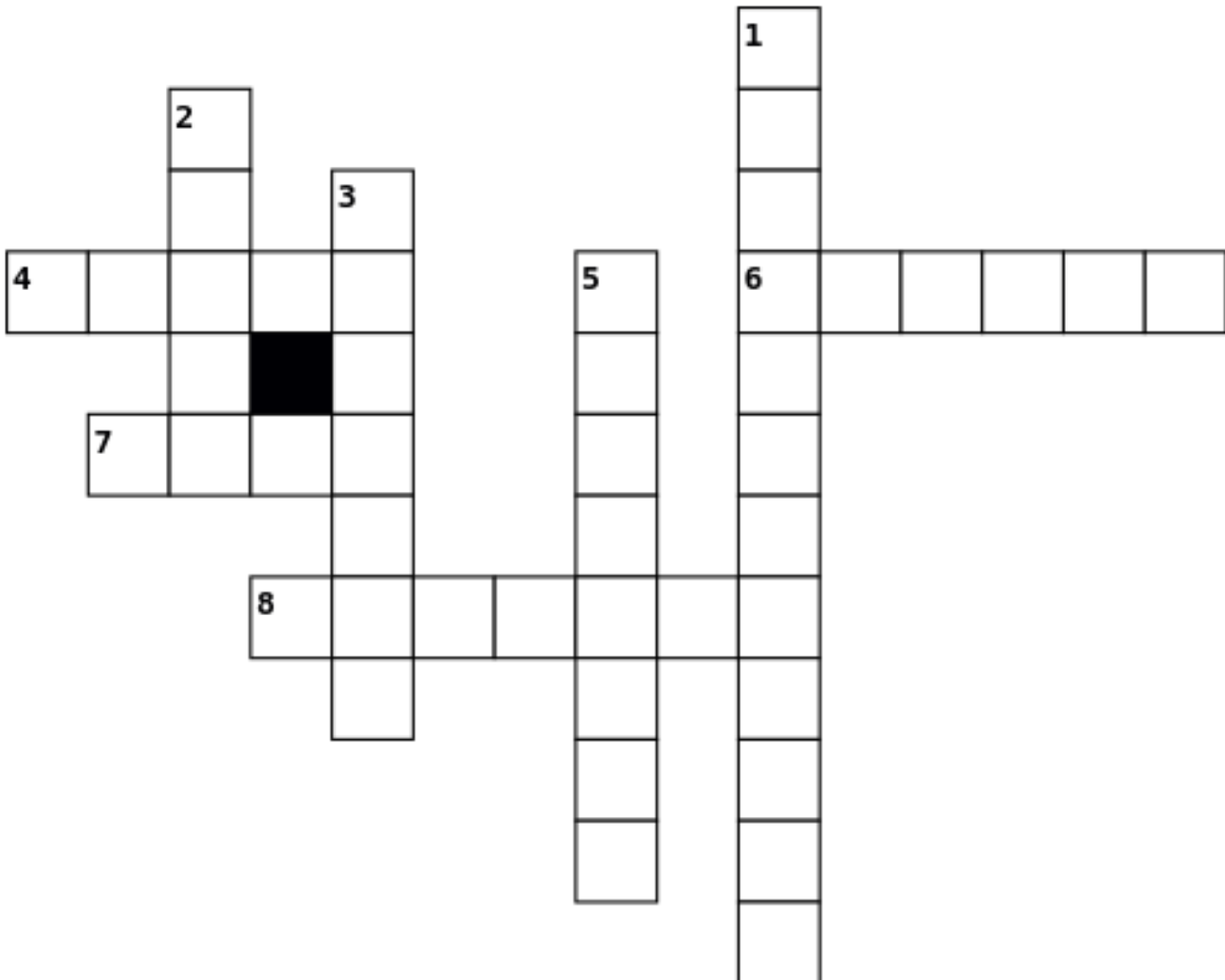
—Misa, Japan

A small wave of red glitter and white snowflakes lights up the shops as chocolate displays appear at the entrances: Christmas is in a month! While French children prepare letters to St. Nick, grown-ups plan family reunions. Christmas is a festive celebration organized with care. Surprisingly enough, the priority lies not in the choice of the menu or the taste of the *bûche glacée* (sadly, biscuits *roulés* seem to enjoy ever less popularity on New Year’s Eve), but in making sure that no family member is alone during the few days of celebration that are allowed. And while ears enjoy the Christmas tunes (see *C’est Noël ce soir*, https://youtu.be/WM300j_UBg8) and eyes rest on brightly lit “Happy New Year” signs, there are hearts who build a family with those who don’t have enough to celebrate Christmas the traditional way. It is a time when that many French associations invite isolated people and families in precariousness to the mission of Christians: to be “united in fraternal affection” (Romans 12:10). Christmas is abundant and a bit complex, but also—in a way—so simple!

—Isabelle, France ■

CROSSWORD PUZZLE

Complete the crossword puzzle with words from the article.



Down

1. a district or community within a town or city
2. come or bring to an end
3. a fruit bread of nuts, spices, and dried or candied fruit, coated with powdered sugar or icing sugar
5. the quality of having a modest or low view of one's importance

Across

4. an annual religious celebration
6. any of four biblical narratives covering the life and death of Jesus Christ
7. type of percussion instrument
8. not connected with religious or spiritual matters

Zachęcamy do śledzenia aktualności dotyczących wydarzeń i wyjazdów naszego duszpasterstwa:
na stronie internetowej www.da-krakow.pl
oraz na fanpage'u www.facebook.com/swanna.kr

Chcesz tworzyć „Ignisa” razem z nami? Skontaktuj się z Redakcją: ignis.da@gmail.com